

PORTRET  
ONLINE

38

---

# Językowo-erotyczny romans z ironicznym wydźwiękiem

Nie wierzę w przypadki. Nie ma czynów, których wcześniej w myślach nie było. Piszę się po to, żeby przekazać coś czytelnikowi: od realiów życia po własne uczucia. Autor musi mieć jakiś zamiar. Książka dla książki? Nie, już dawno odeszliśmy od młodopolskiej idei. Oczywiście nie mam na myśli literatury komercyjnej, której zawartość i sens są prostym matematycznym równaniem: „banalna treść”+ „happy end”= „zysk i pierwsze miejsce na półkach Empiku”. Poszukuję zatem w powieściach tego ziarenka prawdy zasianego przez autora. Próbuję zlepić wątki fabuły w organiczną całość i odpowiedzieć sobie na pytanie: „Dlaczego”? Daniel Katz nie zwolnił mnie z tego obowiązku, wręcz odwrotnie, jeszcze bardziej utrudnił i podniósł mi poprzeczkę. Połączył powieść z elementami dramatu, romans z wątkami kryminału, literacką wyobraźnię z historycznymi faktami, potoczność wypowiedzi z patetycznymi fragmentami, prawdę z fałszem. Czy ta mieszanka nie jest zbyt wybuchowa? Na

miejscu autora bałabym się, że wybuchnie w rękach czytelnika i spali się, nim on przeczyta ją do końca. Ja starałam się ją „rozbroić”...

Romans – temat wytrych, nadaje się niewątpliwie do każdej fabuły. Wszędzie można go „wcisnąć”, a w razie czego odciągnąć uwagę od trudniejszej i wymagającej pewnej wiedzy problematyki. Romans w „Kobiecie pułkownika” to nie przyjemne flirty rodem z harlequinów, ale namiętna fascynacja zaznaczona piętnem wojennych doświadczeń i nieustanną obecnością osoby trzeciej. Tak naprawdę nie wiadomo, kiedy się zaczyna. Czytelnik wraz z głównym bohaterem Henrykiem, nie wyczuwa kiedy wpada w „sieć miłosnego uzależnienia”. Czy za początek można uznać, moment gdy Henryk dopływa do brzegu, nad którym mieszka Mavra z pułkownikiem i Jovanem? Czy może dopiero później, kiedy świadomie i podstępnie przychodzi do niej na lekcję języka rosyjskiego? Bez wątplenia należy uznać, że w momencie przekroczenia

progu ich domu, drzwi zamknęły się za nim bezpowrotnie. Od tego momentu rozpocznie się gra. Niebezpieczna i z pewnością wolna od zasad fair play, towarzyszyć jej będą nieczyste, podstępne i ukryte zagrania. Akcja toczy się błyskawicznie. Niewidomy pułkownik, początkowo wzbudza współczucie i litość, szybko jednak okazuje się cwany i bezwzględny rywalem, którego pięć zmysłów okażą się mocniejsze i wystarczające, aby zatrzymać przy sobie żonę Mavrę. Henryk świadomie wchodzi do paszczy lwa. Ma dwa wyjścia: albo dać się połknąć w całości i żyć w jego wnętrzu, tym samym być na jego usługi, albo zostać „pogryzionym” w przenośni i dosłownie. W tej grze do końca nie wiadomo, kto kogo przechrzty, do kogo należy ostatni cios. Puenta powieści odsłania paradoks życia. Potencjalna ofiara staje się zwycięzcą, a pewny wygranej konkurent okazuje się wielkim przegranym, który w dodatku przyczynia się do ich uszczęśliwienia i wzmocnienia związku. Czytelnik

powinien śledzić ich wypowiedzi, które dość często są aluzją do poezji Puszkina czy też zbiorem patetycznych aforyzmów. Język jest głównym narzędziem w tej walce. Naładowane słowa trafiają skutecznie. Nie należy im wierzyć, bo prawda to iluzja, a fałsz to siostra psychologicznej walki.

Uczucie w „Kobiecie pułkownika” rodzi się ze wzajemnej fascynacji. Pociąg do osoby nieznanej, obcej, a w dodatku zakazanej, ponieważ romans kobiety zamężnej z mężczyzną narusza uporządkowane obyczaje społeczeństwa (choć śledząc innych bohaterów w powieści można sądzić, że każdy przed sobą ukrywa amoralne „wybryki”). Ten językowo-erotyczny romans to nic innego jak cielesna namiętność, pragnienie dotyku ciała, którego przedłużanie staje się jeszcze bardziej kuszące i niepokojąco pożądlive. Możliwe, że w innych okolicznościach Mavra i Henryk nie staliby się kochankami, może i nawet nie zwróciliby na siebie uwagi. W oczach mężczyzny ona jawi się jako litościwa towarzyszka ślepego pułkownika, która oddaje mu swoje życie ze współczucia. Erotyczne eksperymenty dodadzą pikanterii, ale w końcu węzeł miłosnego trójkąta zostanie hipotetycznie rozwiązany. Coś jednak pozostanie. Bez obaw, tej słodkiej tajemnicy nie wyjawię. Węzeł zostaje zawiązany przez mężczyzn i też oni go rozsypują. Narrator oddaje im głos, a w szczególności pułkownikowi. Fabuła układa się po jego myśli. To on sterują tą „grą”, realizuje swój przebiegły

plan. Mavra jawi się jako żona i dziewczyna podległa mężczyznom. Choć sama decyduje o cielesnych potrzebach, to jednak walka toczy się o to, kto ją posiadzie, nikt nie pyta się, kogo ona pragnie.

Tytuł „Kobieta pułkownika” po części dezinformuje czytelnika. Wynika z niego, że Mavra może być zarówno kobietą pułkownika, jak i kobietą Henryka. Autor poprzez tytuł daje pewną swobodę Mavrze, której w powieści ją pozbawia. To co jest głównym argumentem bohaterki, a mianowicie, że jest żoną, w tytule przestaje mieć znaczenie. Jednocześnie tytuł już na początku charakteryzuje Mavrę jako kobietę kuszącą, femme fatale czy jako tą, która uwiodła Odyseusza podczas jego drogi do Itaki. Nie zgadzam się z takim sposobem odbioru bohaterki. Brutalne przeżycia z czasów wojny odcisnęły na niej piętno. Mavra tęskni za bezpieczeństwem, czułością, miłością duchową: którą może dać jej pułkownik dwa razy starszy od niej, a także cielesną, kojarzącą się z pocałunkami matki na dobranoc, która może być zaspokojona przez młodego Henryka. Zagubiona cudzoziemka, niczym Róża Kuncewiczowej poszukuje własnej tożsamości i stałego miejsca w życiu. Pielęgnowuje złudne dziewictwo, które jest jej jedyną bronią przed tamtymi okrutnymi wspomnieniami. Chce postrzegać siebie jako czystą, bo tylko taką jest gotowa zaakceptować.

Fabuła powieści, bohaterowie i historyczne tło zdają się tworzyć

kolejne akty sztuki teatralnej. Sam autor podpowiada właśnie takie spostrzeżenie, pisząc pewne rozdziały na wzór dramatu: podział ról, szczegółowe opisy dla reżysera. W głównej roli obsadza jednak nie bohaterów, jak można byłoby sądzić, lecz rzekę. Towarzyszka wielu rozmów i wyznań, świadek historycznych wydarzeń, pochłaniała też w głębiny zwłoki ofiar. Jest czynnikiem rozdzielającym wrogów po obu stronach brzegu. Rzeka jako metafora życia: wyznacza jego bieg, jest jego lustrem i źródłem wspomnień. Nabiera także cech sakralnych, ponieważ ma moc oczyszczania ciała, obmywa je ze wstydu i winy. W tej sztuce teatralnej wszystko jest wyreżyserowane zgodnie ze scenariuszem autora.

Na deskach rozgrywają się sceny miłosne, a co z tłem historycznym? Jakie znaczenie ono posiada w „Kobiecie pułkownika”? Czy powtarzalność repertuaru jest analogią do powtarzalności historii? Czy nieprzewidywalność rzeki oddaje jej podobne znaczenie? Czy w powieści miłość i historia łączą się spoiwem wieczności? Może nadmiernie doszukuję się drugiego dna, ale jeżeli opisuje się sceny wojenne, podaje się ofiarę i zbrodniarza w wojnie jugosłowiańskiej, w której żadna ze stron nie była niewinna, musi mieć to jakieś znaczenie. W „Kobiecie pułkownika” jednym z powodów poruszenia tej kwestii jest zestawienie paradoksu życia z paradoksem historii. Autor demitologizuje bohaterów wojennych. Odbiera moc

heroicznym czynom. Obnaża ich, wytykając wady i ukazując prawdziwe oblicze. „Jestem mały. Bezwartościowy. Więc trzeba mi było wjechać na minę. Trzeba mi było głupio przerwać obiecującą karierę. Teraz mogę sobie do woli paradować w mundurze jak jakiś paw w klatce”, przyznaje się pułkownik. Autor zestawia prawdy historyczne z tymi, które udokumentowane leżą na półkach bibliotek. Powieść jest także ironicznym głosem skierowanym do historyków, którzy karmią się teorią, a tak naprawdę nigdy nie zderzyli się z realiami wydarzeń: „Tymczasem spotkanie z prawdziwą historią wygląda jak spotkanie człowieka z szarżującym, rozjuszonym nosorożcem”.

Na zakończenie „sztuki Katza” widzowie wstaną i zaczną klaskać, bo tak wypada. Będą się uśmiechać do aktorów, w których miłosne igraszki niemal uwierzyli. Po czym wyjdą i powiedzą, że najlepsza była końcówka. „Ale tak naprawdę czemu on pojechał jako żołnierz ONZ do Bośni”? Dobrze, że mieszanka przetrwała do końca.

*Daniel Katz,  
Kobieta Pułkownika,  
przeł. Sebastian Musielak,  
Wyd. Czarne,  
Wołowiec 2007.*



# Spacerek szczerów

Na początek krótkie podsumowanie. Poprzednia książka Beśki: młody, zdolny prowincjusz w wielkim mieście – niedostosowany, upokarzany na każdym kroku, zmuszony do wzięcia udziału w okrutnym wyścigu szczerów, przestraszony i zafascynowany teatrem życia rozgrywającym się na jego oczach, opisuje świat społecznych nierówności, dzikiego kapitalizmu oraz bezmyślnej konsumpcji. Nowa książka Beśki: bohater, bogatszy o doświadczenia w międzynarodowej korporacji, znużony pośpiechem i płytkością ludzkich kontaktów, postanawia wrócić do swojej mazurskiej małej ojczyzny. Czuje się rozczarowany, rozgoryczony i mądrzejszy.

Odkrywcze? Inspirujące? Co najwyżej autentyczne. Nietrudno zauważyć, że autorem kieruje chęć obnażenia natury ludzi kreujących środowisko tzw. warszawki – emigrantów z Polski B, zakompleksionych i przejętych swoim wizerunkiem, wpadających we wszelkie możliwe pułapki związane z obraniem drogi kapitalistycznej

kariery. Budulcem fabuły stają się własne doświadczenia autora. Krzysztof Beśka pochodzi z prowincji, ukończył prowincjonalną uczelnię, pracuje w stolicy i jest głęboko przejęty losem rzuconych w wir wielkomiejskiego życia pobratymców, z własnej woli pozbawiających się poczucia tożsamości i korzeni. Z wielką pasją piętnuje wady wybranego przez nich modelu życia. Poprzez swoją demonstracyjną kontestację współczesnej rzeczywistości, autor „Bumerangu” wpisuje się w nurt pisarzy antykapitalistycznych, zbuntowanych przeciwko lansowanej wizji korporacyjnej kariery. Shuty, Piątek, Cegielski i Socha tarabanią na alarm od dobrych kilku lat a Beśka, wydając debiutancką „Wrzawę”, przyłączył się do nich i konsekwentnie podąża obraną ścieżką. Odbiorców ich twórczości ogarniają zaś wątpliwości. „Młodzi prozaicy zachowują się jak biedne dziecko, które szpetnie wykorzystał zły kapitalista. Chcą się wypłakać na ramieniu czytelnika, wykrzyknąć niezgodę na Polskę,

w której żyją” – zadrwił Szymon Hołownia w „Rzeczpospolitej”. Trudno uznać za odkrywcze prawdy, do których literatura zachodnia doszła kilka pokoleń temu...

W „Bumerangu” Beśka postawił naprzeciwko siebie dwa światy: świeżo upieczonych Homo Varsoviensis oraz mieszkańców biednych postpegeerowskich wiosek. Grupa yuppies spędza weekend w poniemieckim mazurskim pałacu. To wieloletni przyjaciele, znający nawzajem swoje problemy i słabości, ich kontakty jednak są zastanawiająco powierzchowne. Ciężko im zrzucić codzienny garnitur stresu i napięcia bez pomocy alkoholu czy narkotyków. Kreśląc ich postaci, Beśka dokonał szczegółowej syntezy wad wielkomiejskiego życia: wyczerpująca praca, problemy emocjonalne, używki, łamanie zasad moralnych, prowizoryczność związków międzyludzkich i obsesje to elementy biografii każdego z nich. Podczas, w zamyśle relaksującego, pobytu na Mazurach nawarstwiają się sytuacje

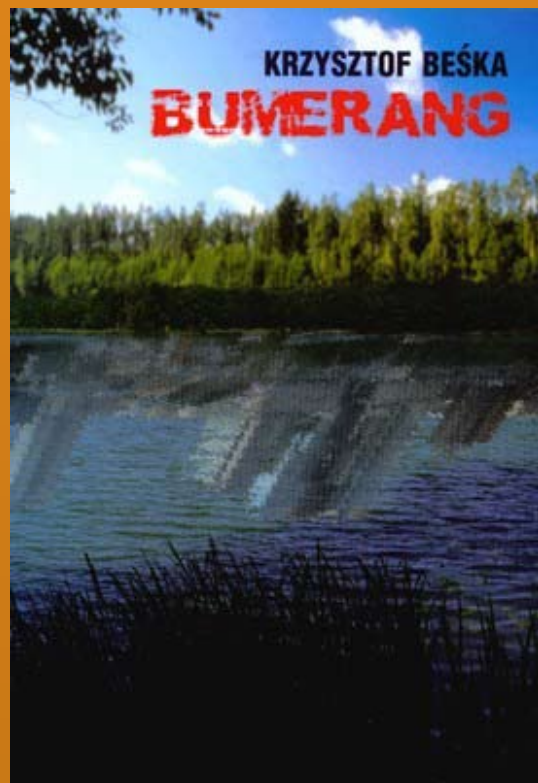
stresowe, które prowadzą w finale do katastrofy, wizyjno – symbolicznej wizji zagłady ich świata. Do życia budzą się zaś i na podbój kraju wyruszają wegetujący na granicy nędzy mieszkańcy wioski.

Konstruując fabułę „Bumerangu”, Krzysztof Beśka popełnił kilka kardynalnych grzechów, spośród których najpoważniejszymi wydają się wtórność i schematyzm. Powieść jest przewidywalna – poprzez wyraźne podobieństwo do pozostałych książek przynależących do nurtu antykapitalistycznego autor pozbawił ją atutu zaskoczenia. Nawet końcowe apokaliptyczne sceny nie porywają czytelnika za sobą (może to być też winą niewielkiej sugestywności opisu). Obyczajowe obserwacje autora bywają trafne, lecz banalne, nieraz ocierają się zaś o niebezpieczne uogólnienia. Widoczne jest to zwłaszcza w nakreślonym przez Beškę obrazie wsi: za dużo tam bezrobocia, patologii, głodnych dzieci i amatorów taniego wina. Oczywiście, wszystkie te elementy są nieodłączną częścią mazurskiego pejzażu kulturowego, ale autor zdaje się nie zauważać, że poprzez wyolbrzymianie niebezpiecznie zbliża się do groteski. Ponadto, jego wizja jest nieaktualna. Postaci chłopów sprawiają wrażenie wyjętych żywcem z kart XIX – wiecznych powieści: nieokrzesani, niedomcy, wchodzący w korszak z Kłobukiem. Ręczę, że większość mieszkańców współczesnych wiosek miałaby problem z wyjaśnieniem ontologicznego statusu

tej istoty. Niezamierzonych śmieszności tego rodzaju znajdujemy w „Bumerangu” więcej.

Zarówno debiut Beški, jak i pozostałe książki antykapitalistyczne, porównywano do „Lalki” Prusa, uznając je za panoramiczne obrazy współczesnej rzeczywistości. Nie wydaje się to trafną interpretacją. Przede wszystkim, nie są to książki przekrojowe. Młodzi karierowicze nie są reprezentatywną częścią społeczeństwa, są jego drobną częścią. Ich problemy nie są uniwersalne, można wręcz zaryzykować tezę, że większość Polaków odbiera je jako egzotykę. Książkom Beški brakuje ponadczasowości, tak wyraźnej w recepcji Lalki. Wrażenie ich „sezonowości” pogłębia brak oryginalnej formy. Przeciętność warstwy językowej i cokolwiek żenujący intertekstualizm (którego szczytowym przejawem jest scena spotkania z szatanem, kalkująca analogiczną w „Mistrzu i Małgorzacie”) nie pomaga „Bumerangowi”. Z całym szacunkiem dla uczuć i zaangażowania autora, pozostaje on jedynie obserwatorem polskiego „spacerku szczurów” (jak trafnie określił omawiane zjawisko Muniek Staszczyk), naiwnym i przejętym, spóźnionym echem Palahniuka i Houellebecqa.

*Krzysztof Beśka,  
Bumerang,  
Wyd. Nowy Świat,  
Warszawa 2007.*



# Notatki na marginesie Nieobliczalnych

Piszę niniejsze notatki na marginesie nowej książki profesora Michała Pawła Markowskiego. Piszę je czując, że właściwie powinien napisać o niej inaczej, mądrzej i solidniej. Mimo to zbieram je w całość. Sam nie wiedząc jak i gdzie się to właściwie skończy. Spisuję owe notatki skreślone własnoręcznie na uboczu „Nieobliczalnych. Esejów” pamiętając, że to, co najlepsze, znajduje się zawsze na obrzeżach, marginesach, a główna zaleta wszelkich pograniczy leży w ich zwrotnej tendencji wobec głównego nurtu, w ich nieobliczalnej naturze, zakorzenionej w poczuciu wolności.

Istotę książki Michała P. Markowskiego, opatrzonej podtytułem „Eseje”, oddaje już sam jej tytuł. „Nieobliczalne” to tyle co nieoswojone, nieprzewidywalne, nie dające się zaprogramować, nacechowane ciągłą zmiennością, trwające w nieustającym ruchu. Nieobliczalne to Miłoszowskie TO, które ledwie przeczuwamy. Takie też są

eseje zawarte w tym zbiorze. Autor trochę ułatwia mi zadanie i zamieszcza jako pierwszy tekst swoistą instrukcję obsługi. Plan, według którego będę odtąd podążał za myślą eseisty Markowskiego. „W swoją stronę” – taki nosi tytuł owy plan i czytam w nim, że „eseje zebrane w tej książce to – w sensie dosłownym i przenośnym - marginalia. Pisane [...] na marginesie moich większych projektów pisarskich, [eseje] stanowiły dla mnie szansę przełamania stylu podporządkowanego dłuższej narracji czy argumentacji, przełamania, bez którego – tak to czuję – nie potrafiłbym w ogóle pisać”.

Pisane „na uboczu” nie oznacza jednak „mniej istotne”. Problem egzystencji, wokół którego ogniskuje autor swoje rozważania, jest obecny w każdym z siedemnastu esejów. W każdym z nich przedstawione zostanie inna – jak pisze eseista - figura egzystencji (m.in. melancholia, miłość, zazdrość, namiętność, umieranie). Egzystencja jest dla Markowskiego na tyle,

no właśnie – nieobliczalna, że wymagała od niego znalezienia odpowiedniego dla siebie języka i formy, aby autor mógł wyartykułować swoje, w stosunku do Niej, wątpliwości. Dlatego też Markowski opiera rozważania na metaforze, która przez swą nieprzewidywalną naturę wydaje się być tutaj odpowiednim narzędziem. Należy jednak zauważyć, że mówienie za pomocą metafor z góry narażone jest na niejasność, niezrozumienie. I przez tą właśnie trudność, którą metafora sprawia nie tylko piszącemu, ale przede wszystkim odbiorcy, metoda ta przysługuje jedynie wielkim myślicielom, a za takiego chce uznawać autora „Nieobliczalnych”. Metoda pisarska krakowskiego profesora jest czytelna i sprawdzona przed nim przez innych (choćby wspomnieć w tym miejscu Derridę, czy Jean-Luca Nancy’ego, autora słynnego „Korpusu”): próba dotarcia do pierwotnego znaczenia poszczególnych słów; żywioł etymologii, który z czasem męczy i każe widzieć w sobie już nie tyle

metodę, co manierę autora. A jednak jest w tym, patrzeniu na słowa jak na rzeczy, pewien sens. Markowski jako filozof sięga głęboko, bo aż do łaciny, aby tuż po chwili odbić się od tego co przed chwilą dowiódł i spojrzeć na problem z szerszej perspektywy – Markowskiego – człowieka, naznaczonego przemijaniem.

Jeszcze jeden problem: język, poza którym nie możemy istnieć. Wszystko dzieje się w języku, nic poza nim. Nie ma dziś miejsca w dyskursie naukowym na to, czego nie można przedstawić, re-prezentować; nie ma miejsca dla „niewidzialnego”. Ale jest inne wyjście - twierdzi Michał Paweł Markowski - i stara się w swych esejach dotrzeć do tego, co jest właściwie poza problemem, jaki przysparza nam językiem. Do nieskończoności, która wyraża się w życiu człowieka poprzez sztukę, a wszystko co istnieje bez (poza/ ponad) języka/językiem – mówi autor – to właśnie metafizyka, której wyrazić nie sposób przez to, że jest „nieobliczalna”.

Markowski pisząc swe eseje starannie dobiera przykłady. Sięga nie tylko po literaturę, ale także po fotografię, malarstwo, architekturę, urbanistykę i topografię w jednym, próbując zrozumieć fenomen nieodgadnionego miasta, jakim jest Wenecję. Zależnie od *exemplum* Markowski spogląda na każdy z przykładów z innej, w jego pojęciu – odpowiedniej - perspektywy. I tak, mam okazję czytać rozważania filozofa, krytyka, historyka literatury, w końcu człowieka wrażliwego, wyczułonego

na TO, co nieosiągalne.

Książka ta nie daje jedynie słusznych odpowiedzi. Nie tego zresztą od niej oczekiwałem. Przez sto dziewięćdziesiąt dziewięć stron miałem okazję skonfrontować swoje wyobrażenia i związane z nimi wątpliwości nie tyle z uniwersyteckim autorytetem, co z człowiekiem, który podobnie jak ja, stoi w obliczu Czegoś, co kiedyś – jak wierzy - będzie miał możliwość oglądać twarz w twarz. Michał Paweł Markowski nie próbuje w swej książce odkryć niewidzialnego, choć zdając sobie sprawę z tego, że - co jest niewidzialne istnieć musi, bowiem co nie istnieje, nie może być nie widzialne - decyduje się na wyzwanie Nieobliczalnego i wychodzi z tej konfrontacji cało.

*Michał Paweł Markowski,  
Nieobliczalne. Eseje,  
Wyd. Austeria,  
Kraków 2007.*



# Kształt do wypełnienia próżni

Powieść Marthy Grimes „Stacja Cold Flat Junction“ jest drugą z serii opowieści o dwunastoletniej Emmie Graham, zamieszanej w kryminalne zagadki, lecz w nieco innym stylu niż można by tego oczekiwać. Leniwie tocząca się historia ma swoje źródło w osobie Bena Queena. Mężczyzna wyszedł właśnie z więzienia, skazany za zabójstwo żony, a krótko po opuszczeniu przez niego zakładu karnego ginie jego córka Fern. Cała okolica, włącznie z policją oskarża Queena o kolejne morderstwo, jednak, jak uważa Emma, po raz kolejny niesłusznie. Ben musi się ukrywać, a jedyną osobą, której powierza swoje sekrety jest właśnie młoda panna Graham, która z ciężarem tajemnicy prowadzi na własną rękę śledztwo.

Nie zważając na opowieści ludzi z pobliskich miasteczek, mała pani detektyw ma własną teorię na temat śmierci dwóch kobiet, a rozwiązania zagadki upatruje w tragedii, jaka miała miejsce przed laty, kiedy to utonąła pewna dziewczynka.

Niestety ze względu na swój młody wiek Emma ma problemy ze zdobywaniem informacji czy przemieszczaniem się do istotnych dla śledztwa miejsc. Niejednokrotnie nie pomaga nawet jej nadzwyczajny spryt i inteligencja. Jednak z wielu opresji wychodzi obronną ręką mimo strachu i niebezpieczeństwa, bowiem odwagi ani zaradności jej z pewnością nie brakuje. Zadania także nie ułatwia fakt, że przyjacielem młodej pani detektyw jest miejscowy szeryf, który czegoś się domyśla, niezauważenie śledząc ruchy dziewczynki. Jednak nikt nie wierzy w jej teorię, nawet wtedy gdy znajduje prawdziwego mordercę Queenów.

Opowieść dzieje się na amerykańskiej prowincji, w sennym miasteczku Cold Flat Junction. Zauważyć tu można wiarygodny opis prowincjonalnego świata, gdzie niemal każdy każdego zna, o wszystkim wie i ma swoje zdanie na każdy temat. To także utrudnia Emmie prowadzenie jej dochodzenia, bowiem ma

wrażenie, iż jest ciągle obserwowana, a wszystkie sekretne informacje prędzej czy później okażą się powszechnie znane.

Mimowryźniewyekspowowanego wątku śledztwa książki tej nie nazwałabym detektywistyczną. Jest ona po wieloma względami bliższa opowiastce dla starszych dzieci niż powieści dla dorosłego czytelnika. Atmosfera jest ciężka, a akcja z pewnością nie przypomina wartkiej czy intrygująco zagadkowej, jak to bywa w przypadku kryminału. Autorka próbując, zdaje się, ubogacić swoją powieść, umieściła w niej wiele rozważań głównej bohaterki, które nie mają nic wspólnego z fabułą. Dużo tu wątków pobocznych, które utrudniają zagłębienie się w historii śledztwa. Mnogość imion, nazwisk oraz innych nazw własnych sprawia, że wchodząc w świat stworzony przez Marthę Grimes, powinniśmy – żartobliwie rzecz ujmując – prowadzić notatki ułatwiające personalne rozeznanie. Choć głównej bohaterce nie można odmówić uroku, to jej cechy są nieco

przesadzone, a rozważania, szczególnie te dotyczące jej samej, z pewnością zbyt daleko idące.

Martha Grimes stworzyła powieść, która nie dokońca przemawia do mnie jako do czytelnika. Mam trudności z odnalezieniem cech gatunku, jaki autorka zdaje się w swojej trylogii uprawiać. Być może jest to zabieg celowy i stwarza pewnego rodzaju odrębną przestrzeń dla powieści tego typu, jednak mnie nie przekonuje. Ponadto trudno jest mi sprecyzować wiek potencjalnych odbiorców, którzy tego typu literaturą byliby naprawdę zainteresowani. Myślę, że książka ta winna trafić do bardzo konkretnego grona odbiorców, które dokładnie wie, czego w literaturze poszukuje i czego może się po książce Marthy Grimes spodziewać. Tymczasem trudno stwierdzić, czy historia ta jest dla dzieci, czy dla dorosłych. Z pewnością jednak nie jest to opowieść dla mnie, nie wzbudziła ona we mnie tylu pozytywnych odczuć, bym gotowa była ją z przekonaniem komukolwiek polecać.

*Trzeciakowska,*

*Wyd. W.A.B,*

*Warszawa 2007.*



*Martha Grimes,*  
*Stacja Cold Flat Junction,*  
*tłum. Anna Przedpelska-*

# Kapryfolium ma wielkie oczy

## 1.

W szachy gram od lat i wciąż popełniam frajerski błąd – nie patrzę. Nie, żebym był złym szachistą, raczej całkiem niezłym, ale brak mi skupienia. Kiedyś byłem w klubie szachowym:

- Brak ci wyrobienia – mawiał mistrz Czochra.

Szachownica ma 64 pola, każdy gracz 16 figur, a partia zaczyna się od wymiany pionów. To schemat. Później trzeba już myśleć: oto człowiek zamienia się w szachowego Miliadadesa. Musi bronić króla i wyprowadzać ataki. Ale ataki miażdżące i miażdżące przemyślane tylko takie odniosą skutek.

Zwykle przegrywam. Co by było, gdyby przegrał Miliadades – nie wiem.

Psem jestem tylko w sensie metaforycznym, tak naprawdę jestem gliną.

Na początku było morderstwo. Ofiarę zmasakrowano i wrzucono w krzaki. Na pierwszy rzut oka zwykle zabójstwo – ale nie – jest walor – biały szachowy pion wepchnięty do ust ofiary.

Spisałem protokół: *dnia tego i tego, zginął taki, a taki (miał w kieszeni dowód) w parku – owskim.*

Wstaję zza biurka i otwieram ciężkie drzwi prosektorium. Oglądam dłonie ofiary – żadnych zadrapań, znaczny – nie bronił się. Całe ciało pokryte ranami. Krwawe koła o średnicy pięciu centymetrów. Identyfikuję: młotek. Głębokość ran to około centymetra, tylko ta na potylicy jest głębsza. Pierwsze uderzenie jest zawsze najmocniejsze. Myślę dalej – mierzę ciało ofiary – 160. Uderzając młotkiem, pisząc na ścianie, wieszając obraz<sup>1</sup>, to się robi na wysokości oczu. Zatem napastnik był niski, jakieś 165 centymetrów wzrostu. To zawęża obszar poszukiwań do 20 milionów osób w tym kraju. *Awesome.*

---

<sup>1</sup> Rzecz jasna, do powieszenia obrazu używamy stołka. Żeby wyżej było.

## 2.

Do domu wróciłem późno, Sylwią zastałem w koronkowej bieliźnie – zasnęła czekając na mnie – okryłem ją kocem. Sylwia ma lekki sen. Ilekroć zachowuję ciszę absolutną, budzi ją sama moja obecność.

- Och Adam, wybac, przepraszam cię, jest późno, boli mnie głowa. Chcę spać – mówi przerywanym głosem.
- Kochanie, to moja wina. Ja się zmienię – odpowiadam cichutko i całuję ją. Ale nie jak kochanek, nie wpijam się w jej usta i nie otaczam ramieniem. To pocałunek przyjaciela.

Jestem psem, powtarzam sobie – jaki ze mnie mąż sam nie wiem.

Przepełniła mnie żalność, kiedy spoglądałem na śpiącą Sylwią, na jej zamknięte oczy, włosy – jak krzyk czerwieni – opadające łagodnie na prześcieradło i jej... przepełniła mnie żalność totalna.

Pomodlić się – jakoś samo zaświtało w głowie. Każdy ma swój własny obraz Boga. Dla jednego będzie to brodaty starzec – Bóg Ojciec – taki Bóg jest bardzo uniwersalny, opiekuje się i kocha. Jest rodziną i jest ojcem. Dla innych Bogiem będzie oko w trójkącie, Bóg Obserwator. Ale taki Bóg tylko obserwuje, ty Go kochasz (szczerze), ale ta miłość jest dla Niego obojętna. On JEST i do tego się ogranicza. Moim Bogiem jest Bóg Słuchacz, ucho! w trójkącie. To jest cierpliwy Stwórca, który kocha – ale z dystansem – nic nie mówi – ale słucha. I to słucha uważnie, każdego słowa i każdej emocji. Jego ucho jest wszechobecne i w s z y t k o leży w zasięgu jego słyszalności. Z Bogiem trudno jest rozmawiać, ja nie wiem jak zacząć. Hej, Panie Boże, jakoś nie wypada. Stwórcu... – wyobrażam sobie jego twarz pochmurną, czoło zmarszczone, brwi ściągnięte i wzrok ostry – zbyt oficjalnie – mówi. Ojcze, tak będzie najlepiej. Tak więc: Ojcze. To ja, Twój syn Adam. Ale Ty pewnie wiesz, bo Ty wiesz wszystko, Ty mnie stworzyłeś. Ja Ojcze, jestem człowiekiem szczęśliwym – tak mi się zdaje – więc wybac, że Ci głowę zawracam, że nie proszę o pokój na świecie, że nie błagam o zdrowie babki – wybac! Ojcze, ja mam żonę, mam dom, mam pracę, ale Boże, mi czegoś brak. Brak mi szaleństwa, szaleństwa takiego, żeby dożyć życia w niepewności. Jeszcze Ojcze, postscriptum: niechaj na świecie pokój zapanuje, niechaj ludzie będą szczęśliwi, a babka Cesia stu lat dożyje! Bo ja nie jestem, mój Boże egoistą. Ja dbam o innych.

## 3.

Szachowy morderca był bezkarny.

Czesława Bernard miała 83 lata i była krawcową w mieście Z. Raczej mała niż średniego wzrostu, o twarzy odstręczającej – przedwcześnie postarzałej – i pomalowanej pretensjonalnie. Wodniste oczy ukryte za okularami, wąskie usta. Postać żywcem wyjęta z bajek, gdzie majątek trzyma się w rajstopie, a miłość jest bezinteresowna. Czesława Bernard usta miała cienkie, różowe, pomalowane krzywo. Leżała pod stołem, pośród rozsypanych szachów, Czesława Bernard była moja babką. Siedzę pośród krwi, myślę – szkoda. Szkoda, bo jeszcze wczoraj byłem u niej na herbacie, śmiała się i grała ze mną w szachy. Teraz ma w ustach biały pion. Biały – czyżby staruszka zaatakowała pierwsza?<sup>2</sup> Pomyślicie: błędę. Że wymyślam gównem wartę teorii, że w chwilach stresu zbrodnia nie myśli o zmyleniu pościgu. Że zadanie śmierci to chwila. Że później się tylko ucieka, że w stresie... To nieprawda. Każdą zbrodnię trzeba zaplanować, wybrać miejsce, wybrać ofiarę. Obserwować ją i odkryć, trzeba ofiarę poznać – wtedy się

---

2 W szachach biało kolor rusza się jako pierwszy.

zabija. Dlatego w morderstwie nie ma miejsca na stres. Poznając ofiarę, zadając cios i zacierając ślady, nie można sobie pozwolić na słabość. Potrzeba siły.

A zmylić pościg... Jeden napisze na ścianie *RACHE* czcionką gotycką i nie zada sobie trudu by odkryć swoją niewiedzę. Napisze gotykiem, bo Niemcy kojarzą się z gotykiem. Bo przed Auschwitz była tabliczka napisana gotykiem. Ale że Niemcy od kilkudziesięciu lat używają alfabetu łacińskiego, mało kto wie.

Wampir z – owskiego (przydomek zabójcy) zabił dwie osoby. Pierwsza to Franciszek Anafasy, druga – Czesława Bernard.

A.

B.

...

Może leci alfabetem? Rozglądam się po pokoju. Dębowy stół, pod nim trup babki, a na stole ciasteczka i dwie filiżanki. Czyli znała zabójcę – myślę, podnosząc do oczu jedną z nich. Brak śladów po szmince, brak śladów po błyszczyku i innych tłuszczach.

- Mamy faceta, który morduje – mówię szefowi.
- Ty nie bądź taki hop...

Stary pierdziel. Czemu zostałem psem, skoro nie lubię tej pracy? – rzecz istotna i wymaga wyjaśnienia. Chciałem mieć piękną broń. Rozładowuję stres, strzelając do butelek. Ustawiam je na balkonie i strzelam z głębi pokoju. Różnie. Czasem przykleknę, innym razem oprę lufę o taboret, czasem spod łóżka – najczęściej – oddaję strzały. Jak skończą się butelki, biorę korki, zdjęcia, ołówki stawiane na sztorc, papierosy. Raz wziąłem ołowianego żołnierza. Duża dowolność. Jak dymanie jest uczucie posiadania broni, nie do opisania.

4.

24 października ludzie opuścili park – owski. Bo co z tego, że policja? Co z tego, że psiarnu w żółtych kamizelkach jest więcej niż drzew w parku, co z tego, powiadam, kiedy Wampir z –owskiego jest w –owskim, grasuje i zabija? Ludzie się bali; ja wychodziłem w nocy i kluczyłem pośród drzew, na próżno szukając w ciemności zielonych ślepi osławionego Wampira. Ja już wiem! ja go rozpracowałem. Pion nie był poszlaką ani próbą zmylenia pościgu. Pion był podpisem. Tak jak artysta podpisuje się pod swoim dziełem, tak Wampir znaczył swe ofiary. 24 października ludzie opuścili miasteczko Z. Opuścili w sensie metaforycznym – bo wciąż byli. Ale miasteczko straciło swoje kolory. Nawet dzieci to odczuły.

- Mówią, że liście są zielone, ale ja nigdy nie widziałem zielonych liści – powiedział jasnłosoły chłopiec-daltonista (chyba udawał). Ostatnia osoba, która opuściła park – owski. – I muszę jeść niebieskie gruszki.
- Nigdy nie jadłem niebieskich gruszek. – odpowiedziałem po namyśle – W ogóle, niebieski kolor jest niejadalny. Dostałbym mdłości po niebieskich gruszkach.
- A ja muszę jeść niebieskie gruszki – mruknął chłopiec i zmarszczył bródkę.

Tęcza opuściła miasteczko Z. i pozostawiła za sobą tylko szarość. Tęcza opuściła miasteczko Z. i – gapa – zostawiła jeszcze jeden kolor: czerwień. Karminowe były moje dłonie.

Może to wyproszone szaleństwo, Bóg Obserwator się ulitował? Tak, to jest szaleństwo rzeczywiste – zabić. A zabić w transie i nie pamiętać – to szaleństwo całkowite, szaleństwo szaleńcze, szaleństwo XXL. Zabić i nie pamiętać to jedno, ale zabić i ścigać samego siebie to już szczyt szczytów – gównu na Mount Evereście. Ścigać wymagowanego zbrodniarza, bez odwagi na przyznanie się do winy: *tak, to ja zabijałem, to ja jestem Wampirem*. Trwać w zakłamaniu – tak to wygląda z zewnątrz. Tylko o zrozumienie proszę, o nic więcej. Nie mogłem się powstrzymać, gdy byłem już w nastroju. Wraz z odwagą, odzyskałem godność, teraz mogę powiedzieć jak było.

Sylwia powiedziała: jestem w ciąży.

A ja nie mogłem się powstrzymać w pierwszej chwili. Później przestraszyłem się odpowiedzialności. Pomyślałem: zabij, a nastrój przyszedł sam.

## 5.

Za pazuchą ukrywam zardzewiałą szprychę.

- Bo jestem w ciąży... bo piernikowe postrzeżenie świata – burczy Sylwia (lubiła pierniki, pamiętam doskonale).

Pyk jej w oko! I pyk, w śledzionę. Pyk, pyk, pyk – szprycha przebija ją na wylot. Ale co to? Nie krwawi! Pyk! Pyk! Pyk! – iskry, zamiast krwi olej! Sylwia jest robotem zaprogramowanym na burczenie. Rozciąga swe półorganiczne macki, próbuje mnie pochwycić, ale ja na to: pyk! Pyk, a potem unik. Maszyna ustępuje brutalnej sile człowieczeństwa<sup>3</sup>.

Ostatnie pyk – już melancholijne. Ostatnie pyk to chwila refleksji, nie czysta brutalność. Ostatni cios, to już w ogóle nie jest brutalność, to rytuał. Krwawa celebrowanie śmierci, sekundy wloką się nieubłagalnie, ostatnie pyk trwa... W końcu czas wraca do normalności.

- Ja niczego nie żałuję – krzyczę oblizując zardzewiałą szprychę. – żadnej chwili.

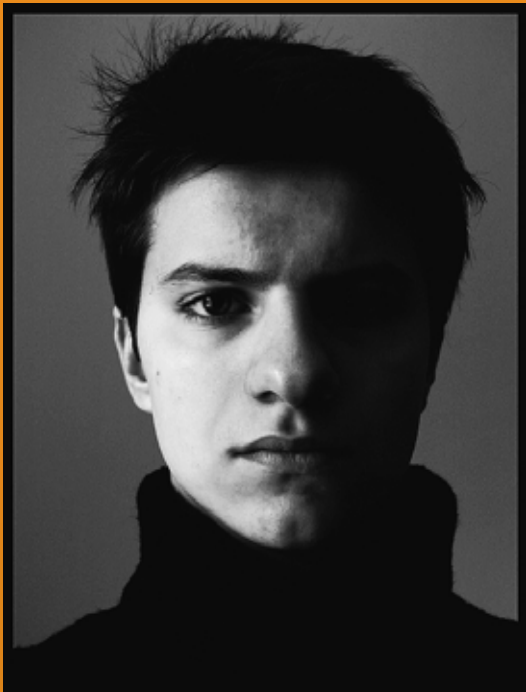
Brutalność to dla mnie obelga. Mówiłem: to jest rytuał, a nie zwykły mord. To jest chwila uświęcona, to jest chwila sakralna, bo między morderstwem a ofiarą jest różnica – jak między czym a czym – nie powiem. To jak eutanazja – cicha śmierć. Tutaj jest Polska, nie Holandia, tutaj trzeba ludziom pomagać, sami nie dadzą sobie rady.

Myśl tylko o jednym, mówi do mnie głos *ucha! w trójkacie*, myśl o pionie. Ostatni raz spoglądam jej w oczy. Spokojne, rozszerzone strachem. Bo strach ma wielkie oczy. A kapryfolum oznacza oddanie. Taki kwiat, jej ulubiony.

- Zawsze będę z tobą – mówię. Ona już nie słyszy.

---

3 Trawestacja z Jerzego Pilcha.



**Kasper Pfeifer** – rocznik 90. Urodzony w Rzeszowie, zamieszkały w Zamościu. Publikował w “Opowieściach” i “Zeszytach Poetyckich”. Od przeszło roku współpracuje z internetowym periodykiem “Cyceron.org”. W przyszłości będzie jednym z mieszkańców polskiego Dublina. Marzy o spełnieniu.